

Zbigniew Nienacki



PAN SAMOCHODZIK

i

templariusze



Zbigniew Nienacki
Pan Samochodzik i templariusze

powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Monika Kanios

Korekta:
Lidia Kabzińska,
Iwona Przybysz, Aleksandra Różanek

Wydanie VI
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-370-9

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy skarb templariuszy znajduje się w Polsce – Tajemniczy dokument – Towarzystwo Poszukiwaczy Skarbów – Kapitan Petersen i jego propozycja – Wielki mistrz zakonu templariuszy ukrywa skarby zakonne – Hasło Jakuba de Molaya

Pod koniec czerwca, w samo południe, gwałtownie zaterkotał dzwonek przy moich drzwiach. Niechętnie wstałem od biurka, przy którym ślezczałem nad zawilými dziejami zakonu templariuszy, otworzyłem drzwi i napotkałem sympatyczne i miłe memu sercu twarze trzech harcerzy: Tella, Wiewiórki i Sokolego Oka.

– Panie Tomaszu! Panie Samochodzik! – wołali jeden przez drugiego. – Szykuje się nowa przygoda, prawda?

Ich twarze wyrażały ogromne zaaferowanie. Nie zapytali nawet, czy mam czas na rozmowę. Wpakowali się do pokoju i obsiedli fotele.

– I co pan na to? Co pan na to, panie Tomaszu? – pytał Wilhelm Tell, wymachując gazetą.

Zrobiłem zdziwioną minę.

– Jeszcze nie czytałem dzisiejszej prasy...

– To niech pan czyta! Szykuje się przygoda! Nowa wyprawa po złote runo! – znowu wołali jeden przez drugiego. I wetknęli mi do rąk przyniesioną gazetę.

– Ależ ja mam bardzo pilne zajęcia... – broniłem się.

Podnieśli ogromny wrzask:

– Panie Tomaszu, co się stało?! Nie chce pan szukać przygód? Już ma pan dosyć odniesionych triumfów? A może pan się lęka nowej przygody? Przecież chyba nie zrezygnujemy ze skarbów templariuszy!

– Co takiego?! – aż zaczerwieniłem się z wrażenia. – Skarby templariuszy? Skąd wiecie o tej sprawie?

– Jak to skąd wiemy? Z gazety, którą pan trzyma w ręku.

Rozłożyłem płachtę gazety. Natychmiast wpadł mi w oczy tytuł wydrukowany grubą czcionką:

CZY SKARBY TEMPLARIUSZY ZNAJDUJĄ SIĘ W POLSCE?

Wyznaję, że zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Potem, w miarę jak zapoznawałem się z treścią opublikowanego artykułu, narastało we mnie uczucie gniewu.

– Co za dureń! Co za bałwan! Ach, żebym go tak dostał w swoje ręce! – krzyknąłem, uderzając dłonią o rozłożoną gazetę. – Po co on to opublikował?!

Chłopcy byli bardzo zdziwieni.

– Pan sądzi, że to zwykła kaczka dziennikarska? Pan przypuszcza, że nie ma w Polsce skarbów templariuszy?

Poszedłem do kuchni i napiłem się wody. Trochę ochłoniąłem z gniewu. Powiedziałem:

– Nie wiem, czy są w Polsce skarby zakonu templariuszy. Natomiast zdaję sobie sprawę, że tę gazetę czyta prawie pół miliona ludzi. Z tego pół miliona zapewne przynajmniej kilku lub kilkunastu zapragnie stać się posiadaczami bezcennych skarbów. I rozpocznie się takie myszskowanie za owymi skarbami, że aż zimno mi się robi na samą myśl o tym. Zaczną kuć dziury we wszystkich starych zamkach, przeorają i przekopią każdy metr ziemi. Skarbów oczywiście nie znajdą, bo być może nie ma ich u nas, ale na pewno

utrudnią poszukiwania tym, którzy tą sprawą zechcą zająć się na serio. Dlatego właśnie tak rozgniewał mnie ten artykuł.

– Więc pan powątpiewa o istnieniu tych skarbów w Polsce? – spytał Tell.

– Och, aż tak nie myślę... – odrzekłem wykrętnie. – Wydaje mi się jednak, że jest to historia niezwykle skomplikowana.

Nagle odezwał się Sokole Oko, który przez dłuższą chwilę kręcił się koło mojego biurka, łypiąc swoimi bystrymi oczami na rozłożone tam książki i szpargały.

– Panie Tomaszu – powiedział z powagą – komu pan chce puszczać dym w oczy? Ludziom, którzy pomogli panu odnaleźć zbiory dziedzica Dunina? A co to wszystko znaczy? – wskazał ręką biurko. – Studiuje pan książki o templariuszach. Zajmuje się pan nimi od dłuższego czasu, bo na stercie szpargałów w prawym rogu biurka widzę trochę kilkudniowego kurzu – to mówiąc, przejechał palcem po papierach i z triumfem wskazał długi ślad. – Jednym słowem: sprawą skarbów templariuszy interesuje się pan od dłuższego czasu i na pewno wie pan o niej bardzo wiele. Pan szykuje się do nowej wyprawy. Pozwolimy sobie być odmiennego zdania o autorze artykułu w gazecie. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się o skarbach i o tym, że zamierza pan ich szukać bez swoich dawnych współpracowników.

– To bardzo nieładnie z pana strony – obraził się Tell.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

– Zdemaskowaliście mnie. Tak, to prawda. Z upoważnienia Centralnego Zarządu Muzeów, którego jestem pracownikiem, od miesiąca przygotowuję się do wyprawy. Celem jej ma być odnalezienie skarbu templariuszy. Nie wtajemniczałem was, gdyż lękałem się, że zechcecie wziąć udział w wyprawie. A ja na to nie mógłbym się zgodzić.

– A dlaczego? Jest oczywiste, że musimy wziąć udział w wyprawie – oburzył się Wiewiórka.

Pokręciłem głową.

– Nie, drodzy chłopcy. Bardzo was lubię i cenię, wiele zawdzięczam waszej przenikliwości i pomocy. Ale tym razem wyprawa jest bardzo niebezpieczna i mozolna. Wtedy, gdy szukaliśmy zbiorów dziedzica Dunina, znajdowaliście się na obozie harcerskim i pomagaliście mi, jednocześnie wypoczywając. Teraz macie wakacje, pojeździecie także na obóz, musicie nabrać sił do nowego roku szkolnego.

– Panie Samochodzik, błagamy pana, niech pan nam oszczędzi tych morałów – jęknął Wilhelm Tell.

– Panie Tomaszu – powiedział Sokole Oko. – Przewidzieliśmy wszystkie pańskie opory. Oto są pisemne zgody naszych rodziców. Pozwalają nam przebywać pod pana opieką.

I wszyscy trzej wyciągnęli z kieszeni kartki papieru z podpisanymi przez ich rodziców zezwoleniami na wzięcie udziału w tej wyprawie.

– Rodzice zadzwonią do pana w tej sprawie – zaznaczył Wie-wiórka.

– Nie, chłopcy. To niemożliwe. Nie znacie dokładnie historii związanej z tymi skarbami i nie zdajecie sobie sprawy z trudności, jakie oczekują tego, kto zechce rozwiązać zagadkę templariuszy. Prawdopodobnie ta wyprawa, niestety, skończy się wielkim fiaskiem. Zmarnujecie wakacje.

Nie chciałem patrzeć na ich zrozpaczone miny i sięgnąłem po przyniesioną gazetę. Tym razem trafiła do mojej świadomości treść kilku ostatnich zdań z artykułu, na które przy pobieżnym czytaniu nie zwróciłem uwagi.

– Boże drogi! – zerwałem się z krzesła. – Przecież ja tam już powinienem pojechać. Zaraz! Natychmiast! Bo inaczej mnie ubiegną. A mój samochód jest w remoncie!

Drżącymi ze zdenerwowania palcami nakręciłem tarczę telefonu.

– Panie Rólka, błagam pana, niech się pan pospieszy z przeglądem mojego wozu – poprosiłem płacząco. – Muszę mieć samochód jeszcze dziś. Natychmiast! Co?... Dopiero na jutro rano? Wcześniej w żaden sposób pan nie zdoła przygotować?!

Zrozpaczony odłożyłem słuchawkę na widełki.

– Pięknie się ta historia zaczyna – westchnąłem. – Od razu na starcie tracę kilkanaście godzin. Przecież nie tylko ja przeczytałem ten artykuł. Inni są już na pewno w drodze do Miłkokuku.

Myśli, które mnie ogarnęły, nie należały do wesołych. Chłopcy także milczeli ponuro, obrażeni moją odmową. Wreszcie odezwał się Sokole Oko:

– Gdyby nie my, jak sądzę, pański start opóźniłby się nie o kilka godzin, ale o kilka dni. Zapewne przez cały dzień ślęczałby pan przy swoim biurku i, być może, w ogóle nie przeczytałby pan dzisiejszej gazety. A my ją panu przynieśliśmy i w ten sposób dowiedział się pan, że najwyższa pora wyruszyć na wyprawę.

Miał rację. Spojrzałem na nich z wdzięcznością.

– To prawda. Postanowiłem, że dzisiaj w ogóle nie ruszę się z domu i przewertuję do końca wszystkie materiały o templariuszach. Bardzo więc jestem wam wdzięczny i dziękuję za pomoc. To bardzo przykre, lecz jednak nie mogę was zabrać ze sobą.

W tym momencie na moim biurku odezwał się telefon. Dzwonił doktor W., ojciec Tella:

– Czy rzeczywiście wybiera się pan na nową wyprawę? – spytał. – Bo mój syn, jak tylko przeczytał w gazecie o skarbie templariuszy, od razu doszedł do przekonania, że pan na pewno weźmie udział w poszukiwaniach skarbu. Wymógł na mnie, abym mu dał zezwolenie na wzięcie udziału w wyprawie. Ba, mało tego, musiałem jeszcze zadzwonić do rodziców Wiewiórki i Sokolego Oka i ich także nakłonić do udzielenia zgody. Wprawdzie chłopcy mieli po jutrze wyjechać na obóz harcerski, ale pod pańską opieką...

– Waham się, czy ich zabrać, ponieważ będzie to bardzo męcząca wyprawa – przerwałem potok słów doktora.

– Męcząca? Być może – zgodził się doktor. – Ale czy pan wie, że od czasu tej słynnej historii z odnalezieniem zbiorów chłopcy, którzy nie byli w szkole najlepszymi uczniami, bardzo się podciągnęli w nauce? W tym roku otrzymali piątki z historii, zorganizowali w szkole kółko antropologiczne, dyrektor szkoły jest nimi zachwycony. Dlatego gdy mój syn powiedział, że pan wybiera się na nową wyprawę, dość krótko się wahałem. Ostatecznie chłopcy są już duzi i bardzo samodzielni...

– Kiedy właśnie ja... – zacząłem.

– Ach, rozumiem – powiedział doktor. – Pan sądzi, że oni będą panu przeszkadzać w poszukiwaniach?

– Przeszkadzać? – oburzyłem się. – Ależ skąd! Oni bardzo mi pomogli w odnalezieniu skarbów dziedzica Dunina. A teraz...

– Tak? – ucieszył się doktor. – W takim razie bardzo bym prosił, aby mi pan powiedział, jak należy wyekwipować naszych chłopców. Mają namiot trzyosobowy, materac, kuchenkę, śpiwory, plecaki. Co jeszcze powinni zabrać? I kiedy planuje pan wyjazd?

– Jutro rano – jęknąłem. – Jutro o świcie niech zjawią się przed moim domem.

Nie słyszałem już, co powiedział doktor, bo słowa jego zagłuszył straszliwy wrzask chłopców. Wydawali z siebie głośnie okrzyki triumfu i radości, klepali się po plecach i dawali sobie kuksańce. Potem skakali wokół mojego biurka. Zakończyłem więc szybko rozmowę telefoniczną.

– Skoro wszyscy są przeciw mnie, muszę zmienić swoje postanowienie – rzekłem. – Jedziemy, moi drodzy. Jutro o świcie wyruszamy szukać skarbu templariuszy.

Zapadła cisza. Roześmiane twarze chłopców raptownie spoważniały. To chyba świadczyło najlepiej, że nadają się jako współ-

towarzysze wyprawy. Z chwilą gdy zapadła decyzja o ich udziale, natychmiast zdali sobie sprawę, że stanęli oko w oko z niezwykle przygodą. Czekwały ich trudy i niebezpieczeństwa, których nikt nie potrafił przewidzieć. Należało być czujnym, poważnym, odpowiedzialnym.

– Czy zabrać ze sobą kuszę? – spytał cicho Wilhelm Tell.

Skinąłem głową.

Odezwał się Sokole Oko:

– Artykuł w gazecie nie zaskoczył pana, a tylko zirytował. To znaczy, że pan już znacznie wcześniej wiedział o skarbie. Zapewne wie pan o nim więcej, niż to zostało napisane w tej gazecie. Jeśli mamy być panu pomocni, chcielibyśmy także usłyszeć coś więcej, niż przeczytaliśmy w gazecie.

– Co to był za zakon? I skąd oni mieli skarby? – dopytywał się Wiewiórka.

– To bardzo długa historia – powiedziałem. – Słuchanie jej zajęłoby nam kilka godzin. A przecież jutro rano musimy wyjechać. Drogę będziemy mieli daleką, aż na krańce Polski. Po drodze opowiem wam o historii skarbu templariuszy. Dzisiaj muszę spakować swoje rzeczy i odebrać samochód z remontu. Wy także powinniście przygotować się do wyprawy. Nie potrzebuję chyba wyliczać, co muszą zabrać ze sobą harcerze wybierający się na niebezpieczną przygodę. Na razie wtajemniczę was zaledwie w kilka szczegółów.

– Słuchamy! Pilnie słuchamy! – zawołali chłopcy.

Zapaliłem papierosa i spacerując po pokoju, rozpocząłem opowiadanie:

– Jak wiecie, jestem autorem kilku książek o poszukiwaniach i odnalezieniu różnych skarbów na terenie Polski. Któraś z tych książek zapewne dotarła za granicę albo, co jest prawdopodobne, po prostu napisano tam o tych książkach. Pewnego dnia otrzyma-

łem list z Paryża. Napisał go pan Chabrol, prezes Towarzystwa Poszukiwaczy Skarbów. Siedziba tego Towarzystwa znajduje się właśnie w Paryżu...

– Towarzystwo Poszukiwaczy Skarbów? – roześmiał się Sokole Oko.

– Nazwa jego brzmi trochę niepoważnie, ale zaręczam wam, że jest to bardzo poważne Towarzystwo. Wpisowe kosztuje ponad sto dolarów, a składka roczna wynosi kilkadziesiąt dolarów. W Towarzystwie grupują się ludzie, którzy zawodowo trudnią się poszukiwaniem skarbów. Takiego poszukiwacza wyobrażamy sobie zazwyczaj jako dziwaka uzbrojonego w łopatę i myszkującego w starych ruinach. Panowie z Towarzystwa są jednak zupełnie inni. Podczas swych ekspedycji zatrudniają wielu ludzi, stosują maszyny, specjalne urządzenia do wykrywania metali, różnego rodzaju detektory i tak dalej. Pracują u nich nurkowie, jeśli poszukiwany skarb leży na dnie jeziora lub we wraku zatopionego statku. Jeden z członków Towarzystwa, Duńczyk, kapitan Petersen, dorobił się ogromnej fortuny, wydobywając złoto z hiszpańskich galeonów zatopionych u przylądka Engano koło San Domingo. Otóż prezes tego Towarzystwa, pan Chabrol, zaproponował mi wstąpienie do swej organizacji. Podziękowałem za zaproszenie, gdyż nie stać mnie ani na tak wysokie wpisowe, ani na składki członkowskie w dolarach. A poza tym nie poszukuję skarbów z chęci zysku. Pracuję w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków, który podlega Ministerstwu Kultury i Sztuki. Zajmuję się więc sprawą zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych, walką z fałszerzami i przemytnikami dzieł sztuki. Odnalezione przeze mnie zabytkowe przedmioty i skarby kultury narodowej zawsze trafiają do muzeów.

– Oglądaliśmy rozwieszone w salach muzeum odnalezione zbiory dziedzica Dunina. Wyglądają bardzo ładnie i na pewno wie-

lu ludzi dowie się dzięki nim, jak wyglądało uzbrojenie w różnych krajach w dawnych wiekach – z powagą przyświadczył Tell.

– Zimą tego roku – ciągnąłem dalej swoje opowiadanie – pan Chabrol zwrócił się do mnie ponownie. Tym razem pytał w liście, czy nie zechciałbym, za odpowiednim wynagrodzeniem, wziąć udziału w ekspedycji słynnego poszukiwacza skarbów, kapitana Petersena, który w lecie tego roku zamierza szukać na terenie Polski skarbu zakonu templariuszy. Szczegóły tej imprezy, jak również dokładne informacje na temat skarbu, otrzymałbym już po podpisaniu kontraktu z kapitanem Petersenem, a raczej z Chabrolem, który porozumiał się ze mną w jego imieniu, gdyż Petersen kończył właśnie prace przy penetrowaniu starych galeonów, zatopionych w zatoce Matanzas na Kubie. Notabene, galeonów tych było jedenaście, a należały one do admirała Rodryga Farfana i wiozły ładunek złota.

– O Boże! – jęknął zdumiony Wiewiórka.

– Panu Chabrolowi udzieliłem bardzo grzecznej, ale odmownej odpowiedzi, jeszcze raz przypominając, że poszukiwaniem skarbów nie zajmuję się z chęci zysków. Zazaczyłem, że gdybym nawet odnalazł skarb templariuszy, przekazałbym go naszym władzom, a nie do rąk Petersena, a więc o jakiegokolwiek współpracy nie może być mowy. Wyraziłem także swoje przekonanie, że skarb templariuszy najprawdopodobniej znajduje się we Francji, gdzie była niegdyś główna siedziba zakonu. I na tym, zdawało mi się, sprawa się zakończyła. Wyobraźcie więc sobie moje ogromne zdumienie, gdy przed miesiącem w jednym z zagranicznych czasopism ukazał się duży artykuł na temat skarbu templariuszy. Pisano tam, że na podstawie jakichś nowo odkrytych dokumentów w bibliotece starego zamku w Szkocji można sądzić, iż tylko część wielkiego skarbu zakonnego znajduje się we Francji. Pozostałą część wielki mistrz zakonu templariuszy, Jakub de Molay, przekazał w depozyt wiel-

kiemu mistrzowi Krzyżaków, Zygrydowi von Feuchtwangenowi, który w tym czasie miał swoją siedzibę w Wenecji. Wkrótce zresztą Zygryd von Feuchtwangen przeniósł stolicę Krzyżaków do Malborka, być może zabierając z sobą skarb templariuszy. Prawdopodobne jest, że bezcenny skarb, a w każdym razie poważna jego część ukryta została nie we Francji, lecz w którymś z krzyżackich zamków na terenie Polski.

– A dlaczego wielki mistrz zakonu templariuszy przekazał skarb swojego zakonu w ręce Krzyżaków? – spytał Sokole Oko.

– To długa historia, zrozumiecie ją, gdy dokładnie opowiem wam dzieje zakonu. Na razie niech wam wystarczy informacja, że Jakub de Molay zdawał sobie sprawę z grożącego mu wówczas niebezpieczeństwa ze strony króla Francji, Filipa IV zwanego Pięknym. Ów król dążył do rozwiązania zakonu i zawładnięcia skarbami templariuszy. Wkrótce zresztą dopiął swego. Zakon rozwiązano, a de Molaya uwięziono i spalono na stosie. Skarbów jednak nie znaleziono. Przewidując grożące niebezpieczeństwo, Jakub de Molay część skarbów zakonnych ukrył, a część przekazał innemu zakonowi rycerskiemu, oczywiście w depozyt.

– I po tym artykule zajął się pan sprawą skarbu templariuszy – stwierdził Tell.

– Tak. Zabrałem się do studiowania historii zakonu templariuszy oraz historii Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny, czyli Krzyżaków. Innymi słowy, zacząłem przygotowywać się do poszukiwań. A tu masz! Także i w naszej prasie ukazał się artykuł o skarbie, prawdopodobnie opracowany na podstawie tej zagranicznej publikacji. Po prostu jakiś dziennikarz przeczytał tamten artykuł i napisał szeroką informację dla naszej gazety. Czy zdawał sobie sprawę, że wydrukowanie jej skieruje do zamków krzyżackich dziesiątki amatorów odnalezienia skarbów? Posłuchajcie uważnie końcowych zdań artykułu.

Chwyciłem gazetę i przeczytałem głośno:

Trudno oczywiście stwierdzić z całą pewnością, czy rzeczywiście skarb zakonu templariuszy znajduje się w którymś z zamków krzyżackich na ziemiach Polski. Faktem jest jednak, że autorowi niniejszego artykułu dane było oglądać stary dokument o bardzo tajemniczej treści. Dokument ten nosi pieczęć zakonu templariuszy. Jest on w rękach pewnego nauczyciela wiejskiego, który mieszka w powiecie Sejny nad jeziorem Miłkokuk. Nauczyciel ów posiada bardzo bogate i ciekawe zbiory różnego rodzaju pamiątek i starożytności, które odnalazł w czasie swych wakacyjnych wędrówek po Suwalszczyźnie, po Warmii i Mazurach. Czy jednak dokument ten pomoże rozwiązać zagadkę ukrytego skarbu? Jak do tej pory jedynym drogowskazem jest zdanie wyryte na złotym krzyżu, który wielki mistrz Krzyżaków, Zygfryd von Feuchtwangen, darował Jakubowi de Molay. A zdanie to brzmi: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Kto zrozumie znaczenie tych słów, ten odnajdzie bezcenny skarb.

Chłopcom rozgorzały oczy.

– A więc istnieje hasło do odnalezienia skarbu? „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Panie Tomaszu, czy pan się już domyśla, co znaczą te słowa?

Niecierpliwie machnąłem ręką:

– W tej chwili stokroć ważniejsze jest, aby ów dokument, który posiada nauczyciel nad jeziora Miłkokuk, nie wpadł w niepowołane ręce. Rozumiecie? Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że być może kapitan Petersen znajduje się aktualnie w naszym kraju i że ktoś wskazał mu już ten artykuł w gazecie. I Petersen w tej chwili pędzi samochodem po tajemniczy dokument. Równocześnie pędzą po niego dziesiątki innych amatorów skarbu. A my? – zła-

pałem się za głowę. – A my tu siedzimy i prowadzimy towarzyską pogawędkę. Dopiero jutro rano będziemy mogli pospieszyć nad Miłkokuk. Czy teraz już rozumiecie moją złość i moją rozpacz?

Milczeli. Teraz oczywiście także i oni pojmwali mój gniew na autora artykułu. Podzielali chyba także moje uczucie bezsilności.

– Może ten dokument nie okaże się aż tak ważny – nieśmiało powiedział Wiewiórka.

– Miejmy nadzieję – westchnąłem. – A na razie powiedzmy sobie szczerze, że zostaliśmy zdystansowani już na starcie.

Na tym smutnym stwierdzeniu zakończyła się pierwsza moja rozmowa z chłopcami. Po krótkiej chwili trzech harcerze pożegnali się i rozeszli do domów, aby poczynić przygotowania do jutrzejszej podróży. Ja także zacząłem pakować swoje rzeczy, a potem odwiedziłem warsztat mechanika. Chciałem upewnić się, że mój samochód będzie jutro rano gotów do drogi.

Nadszedł ranek. Wilhelm Tell, Sokole Oko i Wiewiórka, ubrani w mundury harcerskie i objuczeni ogromnymi plecakami, zjawili się punktualnie przed moim domem. Tell ponadto dźwigał na ramieniu kuszę. Przed domem gotów do drogi stał już mój samochód. To z racji posiadania przeze mnie tego dziwnego pojazdu chłopcy przewali mnie: Pan Samochodzik. Mój wehikuł, mimo że dałem go do polakierowania na ładny stalowy kolor, pozostawał wciąż pojazdem budzącym drwiny, zdumienie i litość. Nie było bowiem sposobu, aby odmienić kształt karoserii wykonanej przez niedocenionego wynalazcę. W dalszym ciągu samochód przypominała obrzydliwą larwę z wybałuszonymi oczami reflektorów, stanowił coś w rodzaju starego czółna na czterech kółkach. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że posiadał silnik ferrari 410 i był jednym z najszybszych samochodów świata. Potrafił nie tylko szybko jeździć, ale i pływać po wodzie jak łódź motorowa.

Załadowaliśmy bagaże, zajęliśmy w wehikule miejsca. Był ostatni dzień czerwca. Słoneczny ranek zapowiadał piękny dzień, PIHM przepowiadał pogodę na pierwszą dekadę lipca. Wyruszyliśmy więc ze świadomością, że czeka nas wiele pięknych dni i wiele ciekawych przygód. Nie zastanawialiśmy się, czy uda się nam rzeczywiście odnaleźć skarby templariuszy. Chodziło przecież tylko o przeżycie pięknej przygody. Dlatego też zaraz po wyruszeniu w drogę poprawiły się nam humory.

Za miastem, na szosie wiodącej w stronę północno-wschodniego krańca Polski, zaśpiewaliśmy chórem naszą ulubioną piosenkę:

*Wśród dolin, wśród lasów
i jezior, i kniej
ktoś szukał przygody.
Nie znalazł tam jej.
I morze przepłynął,
przemierzył wzdłuż świat,
nie znalazł przygody,
zagubił jej ślad.
I marzył: czy dzień to,
czy wieczór i mrok,
przygodę jak druha
Spotykać co krok!
Przygodo, gdzie jesteś?
O sobie daj znać!
Przygodo, gdzie jesteś?
Przyjdź, imię swe zdradź!*